

sobie we wzorzystej, emaliowanej tabakierce, co umie poloneza wygrać. Wszystkiemu tu dobrze i przytulnie...

Dziurbacki ujął za czworogranne, perłami upstrzone puzdereczko, ponosił je z lubością do światła i otworzył. Dwa sygnety lysnęły ku niemu kolorowymi kanieniami i przypomniły wielkiego kirasera z rozpiętym czerepem...

Profosowi na to wspomnienie okrutnie uciesznem się zdało, że taki chłop sążnisty, miast z manierką, z takim oto klejnotem po bataliach się wodził, więc skrzywił się jowialnie. Gdy naraz, tuż w pobliżu, rozległo się jakby przeciągłe, żalosne westchnienie...

Dziurbackiemu czupryna się zjeżyła. Puzderko wysunęło mu się z palców i upadło z brzękiem między kosztowności.

Profos obejrzał się niepewnie dokoła, zgarnął leżące na stole guzy i pieniądze, wrzucił do skrzyni, zatrzasnął ją z hałasem i wsunął pod poślanie. Zaczem ujął za mieszek, aby go między rupiecie wziąć, gdy z mieszka wyslizgnął się jakiś, papierami napół owinięty przedmiot. Dziurbacki uwolnił go z papierów, spojrzał i wykrzyknął z podziwu.

Z misternie oprawnej miniaturowy wychyliła się ku niemu Antoszka.

Też same włosy, oczy, twarz żywcem też sama, jeno kształtniejsza, pełniejsza i ramiona nie takie drobne, zbiedzone...

Profos aż okulary na nos założył i precz poglądał a głową chwiały a natrzeć się nie mógł.

Po chwili, kiedy z pierwszego wrażenia ochłonął, spostrzegł na odwrotnej stronie miniaturowy koronę, a pod koroną napis.

Dziurbacki skupił uwagę, bo w czytaniu nie był mocnym. Rozróżnił literę *ka*, potem *be* po dwóch brzuszkach poznał, doszedł i pozostałych, lecz gdy skleić je chciał, wychodził mu cudak, brzmiący raz *Kdeser*, raz *Kbdesery*, to znów poprostu *Bgdecery*.

Więc po daremnych wysiłkach dojścia do zdrowego sensu liter na miniaturowy, zaniechał sylabizowania i do porzuconych papierów sięgnął. Tu atoli na uczoność starego żołnierza sroższa czyhała zagadka.

Papiery owe bowiem wyglądały na pakiet z wojskowymi depeszami, pakiet napieczętowany uroczystości i zygzakami upstrzony.

Dziurbacki zafrasował się, czyli mu go otworzyć należy, gdy pieczęć nadłamana przy peregrynacji w mieście, sama się rozwarła. Profos do był skwapliwie zawartość pakietu i na dobre się zakłopotał. Bo przy naciukanym literami świstku znalazł znów pakiet i jeszcze starannie, choć inaczej zapieczętowany. Profos zerknął po nadpisie, po świstku, lecz się niczego nie mógł dorozumieć. Gotów był przysiąc, że widział w którymś kraju podobnie pisane i kręcone litery, ale to i wszystko, czego dociekł. Ale stąd zawziętość w nim się ozwała. Nie namyślając się, szarpnął za pieczęć nowego pakietu. Wypadły zeń trzy mniejsze, a każdy z nich innym herbem znaczony, inaczej wypisany.

Dziurbacki ponosił do oczu najznacniejszy z trzech pakietów i stropił się. Widniał na nim orzeł, niby żywcem odbity z czapy grenadiera litewskiego pułku. A ponad orłem stało pismem kunsztownem, jak drukowane wyrazistym — „Do Wodza naczelnego Jaśnie Wielmożnego generała Skrzynckiego”.

Bem, po nocy na poły strawionej na grze u Honoratki, a na poły na bezsennem łamaniu się z myślami, ledwie nad ranem zdrzemnął się nieco, ale i to na krótko, bo już o siódmej zbudził go ordynas kapitana Orlikowskiego z raportem odręcznym i wykazem żołdu do podpisu.

Pułkownik, choć mu tak wczesna posyłka dokużyła, lecz i rad był z niej. Rozkazów ze sztabu nie było żadnych, w baterii panował ład siaki taki, choć kilkunastu żołnierzy do Warszawy się wymknęło — mógł więc Bem wypoczywać dalej spokojnie.

Na ten koniec otworzył pułkownik okno w swej sypialce, zsunął szczerbnie zazdrostki i ułożył się na poślaniu.

Aliści, ledwie powieki mocniej zemknęły, znów do drzwi zakolatanano.

Pułkownik dzwignął się, narzucił płaszcz na ramiona i otworzył z trzaskiem drzwi.

Na progu ukazał się Sikorski.

— Daruj miłościwy pułkowniku, wybac, tuszyłem sobie powinne służby, lecz dalipan nie o tak wczesnej porze...

— Istotnie, jak pan widzi, nie do odwiedzin jestem...

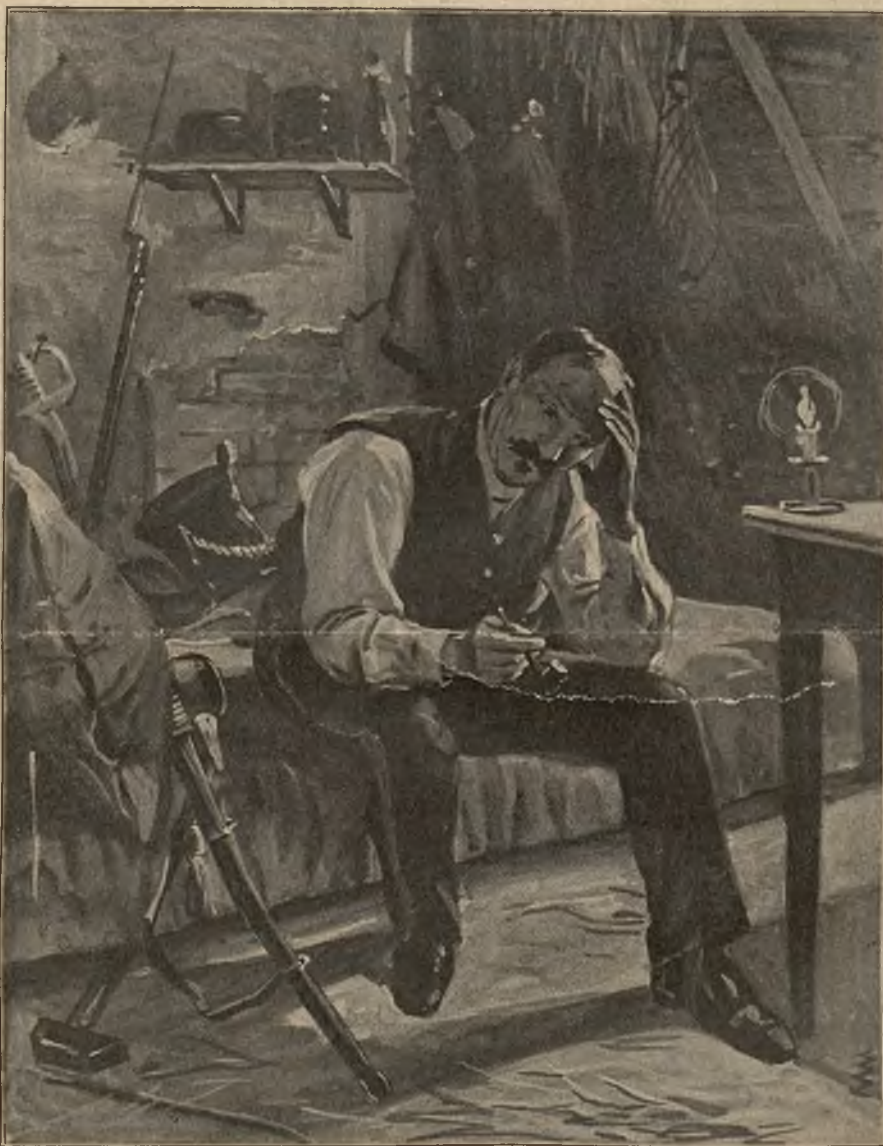
— Niechże się jeno pułkownik nie sumittuje przedemną! — Tego by jeszcze do konfuzyi mi trzeba było! Tak właśnie mi przypada, serdecznie, poprostu... Bardzo miła kwatery... Proszę się nie trudić, ot tu sobie usiądę!... O widzę plany wojskowe, kalkulacje na stole...

Bem, który ani ukryć umiał niechęci, skinął lekceważąco.

— Zwyczajny rozrachunek szanów i lunet warszawskich.

Sikorski musnął swych rudych, na szpikulce namotanych wąsów.

— A więc tak się przedstawiają! Arcy-ciekawe.



Profos usiadł na swoim poślaniu i zaczął rozmyślać.

Nigdy pojęcia nie miałem, że się to tak prezentuje! Zgaduję, że tu, z tej strony wypada Marymont?

— Nie, z przeciwnej — tu.

— Aa! Widzi pułkownik a człek, jak pałasz przypasze, zmaginuje sobie, że mu do generała gwiazdki nie dostaje...

— Zapozwoleniem — przerwał cierpko Bem — supponuję, że pana do mnie jakowaś ważna sprawa przywiodła...

— Tak jest, obowiązek nawet powiadomienia cię o losach pupilki...

— Nadtoś pan uprzejmy. żeby cię dlatego tak wcześniej truć...

— Pani Marchocka dała mi znać, więc bez miłoty udaję się do pułkownika — uciekła.

Bem poruszył się niecierpliwie.

— Jakto uciekła?

— Dziś w nocy. Odwiozłem ją wczoraj. Pani Marchocka jaknajlepiej przyjęła dziewczynę. Zatrzymała się, aby ją oporządzić, ogarnąć, nakarmiła, napoiła, ułożyła do snu, budzi się skoro świt, bo ma porucznika strzelców konnych rannego śmiertelnie na opiece — dziewczyny nie ma... Okno na ogród otwarte... owe przebranie wojskowe porzucone, natomiast nie ma spódnicek pani Marchockiej,

niema sepecika, różanem drzewem wykładanego... nie ma drobiazdzków na gotowni...

Bem skonfundował się.

— Pozwól waszmość, doprawdy nie miła dla mnie historia... Uciekła i nadomiar okradła swoją dobrodziejkę.

— Ano, żeby nie wiem jak kołować, na tem wypadnie utknąć! Pani Marchocka rozesała wnet służki na wsze strony — gdzie, jak kamień w wodę...

— I maleństwo takie, dzieciak.

— Od pieluch uczony złego, pułkowniku, od pieluch!

— Lecz w takim razie czuję się tu winnym niebaczości. Straty, poniesione przez panią Marchocką, na mnie spaść muszą...

— A nie, nie pułkowniku. Zgrzeszyłeś złotem sercem, kuźdy rzetelny człek równieby zgrzeszył. I pani Marchocka jednym się tylko trapi, byś nie mniemał, że dobra nie pragnęła dla pupilki, że jej nie dość strzegła.

Pułkownik obstawał przy swoim, na ratusz chciał iść, aby szukano małej złodziejki, lecz Sikorski uspokoił go, ulagodził, przekonał, że na tak błahą sprawę szkoda było i gniewu i słów nawet.

— Tedy będę musiał chyba sam przed panią Marchocką się wysumitować.

Sikorski aż przyklasnął z zadowolenia.

— Otóż, otóż, kochany panie Józefie, rozwiązanie. Pani Anna nie będzie się posiadała z radości mieć u siebie takiego bohatera. Nie przecz, pułkowniku, rzetelnie mówię, bohatera. Ofiaruję się na przewodnika. Czekam na cię o piątej w cukierni Lessla.

Sikorski podniósł się.

— Będę niezawodnie, bo doprawdy przykro mi...

— Ot tam niema o czem, niema o czem! A ja znów gapię się na ten plan sztuczny! Osiwiałbym, zanim bym się w tych kresceczkach i punkcikach!...

— A rzecz jest łatwiejsza do pojęcia, niż napozór się prezentuje.

— Byle nie dla mnie, kochany panie Józefie. Uważasz, do pisanego wrodzony wstręt żywię! Śmieję się zdrow, lecz takim się urodziłem. Z kopę tacek samotrzeć na szanice zaciągnąłem, ale co, jak żebyś mnie zabił. Więc niby tu wszystko stoi wyluszczone, gdzie jaki rów a gdzie wał?

— Najdokładniej i ze wskazaniem, ile i jakich armat trzeba, gdzie ma być pozycja jazdy, gdzie piechoty!

— No-no! — dziwił się dobrodusznemu Sikorski. — I sądzisz pułkownik, że, że do tego może przyjść...

— Kto wie! Osobiście jestem zdania, że nie powinniśmy dopuścić do oblężenia miasta, że nie powinniśmy nawet tracić czasu na jego obronę!

— Patrz pułkownik... a tego, tego bym się nie spodział.

— Długo o tem mówić! Więc o piątej!

— Sługa pański.

Po odejściu Sikorskiego, Bem wybity ze snu do reszty, zabrał się do odziewania. Ale jakby tego ranka fatalność zawzięła się na jego mieszkanko. Ledwie wodą się orzeźwił, zapukano doń z listem od hrabiny Ilińskiej, zapytującej o syna. Odprawił pułkownik służącego hrabiny, nadszedł właściciel kamieniczki, imię pan Brukalski, pół godziny się nad ojczyzną i jej obrońcami rozwodził, aż na przymówieniu się o czynsz zakończył. Po zbyciu się Brukalskiego, pułkownik raptem mundur zdołał na rekawy wciągnąć, gdy znów zakolatanano.

Tym razem był to Krępowicki.

Bem, na widok osławionego demagoga, z którym nie jedno miał na pieńku, bąknął niechętnie.

— A, cale się nie spodziewałem.

Krępowicki atoli, nie zrażony tonem przywitania, wystroił swą ziemnistą twarz uśmiechem.

(Dalszy ciąg nastąpi).